

Statek mknął przez Pustkę niczym pocisk. Konsul Anlem siedział samotnie przypięty do fotela na pokładzie widokowym, wpatrzony w nieprzeniknioną czerń. Minęły miliony lat odkąd powołano go do istnienia, jednak nie pamiętał, by przestrzeń wypełniało cokolwiek poza ciemnością. Narodził się w samym środku Apokalipsy rozciągniętej na eony. Wszechświat nie miał zakończyć istnienia w ogniu, gasł powoli, nieubłagane, zwyczajnie. Zamieszkujące go cywilizacje wymarły. Krążyły wprawdzie legendy o rasach, którym udało się porzucić słabe, materialne ciała: miały istnieć wiecznie, jako formy energii, jednak konsul nie dawał wiary tym pogłoskom. Sam był przecież świadkiem prób „unieśmiertelnienia” umysłu, zakończonych porażką. Udało im się jedynie powstrzymać proces starzenia. Nikt nie umarł od wieków. I nikt nie przyszedł na świat, pokolenie Anlema było ostatnim.

Niewielu, poza nim, oglądało Pustkę, większość wołała się odciąć od niej grubymi ścianami, przerażała ich nieskończona martwa przestrzeń.

Dawniej miliardy gwiazd rozświetlały mrok, miliardy mgławic, mrowie galaktyk. Ale minęły wieki, gwiazdy zgasły. Kosmos umierał. Ostatnie czerwone karły dawały schronienie ostatnim mieszkańcom Wszechświata, jednak one też nie mogły istnieć wiecznie.

Jedna z takich gwiazd widniała na ekranie. Z daleka przypominała rozżarzony węgielek, teraz wypełniła sobą niemal cały ekran: piekło gorącego gazu. Wokół niej krążyła sieć satelitów oraz stacja kosmiczna kształtem i rozmiarem zbliżona do niewielkiej planety.

Anlem był zmęczony, zauważył z niepokojem, że coraz częściej musi korzystać z komory regeneracyjnej. Zastanawiał się czasem, czy nie ustąpić z urzędu, by zamknąć na zawsze wieko komory, zasnąć wiecznym snem. Odrzucił jednak tę myśl: jeszcze za wcześnie na pogrążenie w słodkiej ułudzie.

Tymczasem statek zbliżył się do stacji i łagodnie zadokował. Konsul wrócił do domu.

Podróżnik pojawił się nagle, oślepiła go chłodna biel korytarza. Zaciekawiony spojrzał na swoje dłonie: skóra była lekko błękitna. W głowie słyszał szmer jakby setek głosów, westchnienia, czasem jęk. Istoty zamieszkujące ten fragment rzeczywistości nie spożywały żadnych pokarmów, więc ich język i wargi osłabły: zamiast używać coraz mniej zrozumiałej mowy, przesyłali sobie sygnały bezpośrednio do mózgu przy pomocy specjalnych mikroczipów umieszczonych w korze mózgowej. Emocje wyrażali dzięki nanobotom znajdującym się pod prawie przezroczystą skórą - zmieniały one kolor, reagując na impulsy nerwowe.

Właściwie nie musiał pojawiać się tak wcześnie. Nie był pewien czy przywiodła go tu tylko ciekawość czy chęć pomocy, nie umiał jeszcze dobrze odczytać wszystkich odczuć, nie przywykł do tego ciała.

Spojrząwszy na niewielkie urządzenie umieszczone na nadgarstku, Podróżnik ruszył przed siebie. Powoli szedł korytarzem, białe, gładkie, sterylne ściany przypominały mu Pustkę, dorównując jej bezosobowością i ciszą. Zza rozmieszczonych co kilka metrów drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Nagle Podróżnik przystanął. Nasłuchiwał.

Chana daremnie próbowała zapanować nad imaginą. Choć ze wszystkich sił starała się skupić, kształty tworzone przez imaginę ciągle nie przypominały tego, co miała w głowie. Otworzyła oczy, patrzyła, zniechęcona, na efekt swojej pracy. Nie był zadowalający. Zamiast wielobarwnej roślinnej kompozycji widziała bezkształtną, jakby przywiedłą płataninę, zaśmiecającą podłogę. Usiadła w fotelu, który do niej podjechał i pogrążyła się w niewesołych rozmyślaniach. Pozwoliła, żeby ogarnął ją smutek, z jasnozielonej zmieniła kolor na szary. To uruchomiło alarm: komputer osobisty zalecał natychmiastowy odpoczynek w komorze. Wieko ogromnego pudła zostało podniesione, zachęcając Chanę, do snu.

- Wyłącz alarm. Muszę pomyśleć. - Alarm ucichł, wieko opadło ze zgrzytem.

Nagle otworzyły się drzwi, ktoś wszedł do środka. Chana wstała. Kto mógł popełnić taki nietakt i odwiedzić ją bez zaproszenia? W dodatku nieznajomy! On tymczasem wszedł, skinął głową na przywitanie, zabarwiając się na pastelową mieszankę różu i bieli, jakby była jego starą przyjaciółką. Jej fioletowa skóra wyrażała zdziwienie.

- Przepraszam za najście, ale czy mogłaby mi pani pomóc? Chyba zabłądziłem. - Głos, który usłyszała w głowie był dźwięczny, jasny, w jego myślach nie znalazła fałszu.

- Zabłądził pan? Awaria OPU?

- OPU? A tak, Osobisty Przewodnik Uniwersalny! Rzeczywiście, ostatnio nie działał najlepiej. - Jej głos przypominał ciche dzwonięcie małego dzwoneczka, czuł go w sobie: połączyła ich technologia, tworząc więź dawniej nieznaną, inną od tej, której sam doświadczał w Wielkiej Matrycy. Zmieszał się, jego ciało zapłonęło ciemną czerwienią, a Chana natychmiast podzieliła to jego zmieszanie wraz z krwistą barwą.

- Może pójdzie pan do serwisu?

- Ma pani z pewnością rację. Tylko jak tam trafię? Nie mogę nawet znaleźć kwatery. A co to jest? - Zadał to pytanie tak niespodziewanie, że Chana z początku nie zrozumiała, o co mu chodzi. Nieznajomy wskazał na rośliny pokrywające podłogę. Całkiem o nich zapomniała.

- To bardzo ładne.

- Nie wydaje mi się. - Zdjęła z półki mały przezroczysty pojemnik, rośliny, zamienione w jasnozieloną mgiełkę, wpłynęły do środka.

- Próbowałam zrobić ogród, ale mi nie wychodzi.

- Mogę? - Nie czekając na pozwolenie, wyjął pudełko z jej ręki i otworzył. Imagina snuła się po podłodze, lekko migocząc.

Zamknął oczy, skoncentrowany na jednej myśli, jednej idei, poza którą chwilowo nic nie miało znaczenia. Przez moment nic się nie działo. Nagle imagina zaczęła formować kształty: barwne kwiaty, kołyszące się wśród trawy podmuchem wiatru, po soczyście zielonych liściach spływały kropelki rosy. Chana zamigotała z zachwytem.

- To niesamowite! Jak to zrobiłeś?

- Och to proste. Widziałem te kwiaty. Maki, stokrotki, polimelle z Albernony. Kwiatki tak drobne, że trudno je dostrzec wśród mchu oraz ogromne, pyszniące się swoim pięknem. Widziałem lasy w promieniach słońca oraz w strugach deszczu, mgłę w dolinach...

- Widziałeś to wszystko w snach? - Obcy przechylił głowę, spoglądając na dziewczynę, jakby była jednym z tych dawno umarłych kwiatów.

- Może to był sen? Kto wie? Czasem zdaje mi się, że to mi się tylko śniło. - Ostatnie zdanie przesłał jej łagodnie, jakby szeptem. Żałował, że nie może użyć głosu.

Podróżnik znajdował się w swojej kwaterze. Nie zdziwiło go łatwość znalezienia wolnego pokoju, w tej epoce wszystkie potrzeby spełniano błyskawicznie. Minimalistyczny wystrój również go nie dziwił, pasował do Czasów Ostatecznych, ery końca wszystkiego, bez narodzin.

Wolał inne epoki, czasy niepowstrzymanej ekspansji, rozkwitu życia, imperiów powstających tylko po to, by upaść. Te czasy przypominały mu trochę pokój, w którym zaciągnięto zasłony, zgaszono światło: jego mieszkańcy odeszli w noc, nigdy nie mieli powrócić.

Na ścianach widniały liczne przyciski, ekrany oraz migające światełka. Pośrodku umieszczono rodzaj kabiny, leżącej na podłodze. Komora regeneracyjna. Podróżnik pomyślał, że przypomina trumnę, z czasów, kiedy jeszcze używano trumien. Nie miał ochoty do niej wchodzić, jednak musiał zrozumieć te istoty.

Ich przodkowie pochodzili z niewielkiej planety położonej na skraju Galaktyki. Po tysiącach ewolucji opuścili macierzysty świat, zasiedlili inne, zmieniając się coraz bardziej. Stworzyli potężne Imperium. Dzięki manipulacjom genetycznym pokonali choroby i śmierć. Jednak, gdy Wszechświat zaczął gasnąć, spostrzegli, że nieśmiertelność stała się przekleństwem. Jaki koniec czekał nieśmiertelnych u kresu

wszystkiego?

Stworzyli ostatnie pokolenie, które by żyć, musiało regenerować się w komorach. Komory spowalniały proces starzenia, dostarczały energii, nawet usuwały zbędne wspomnienia - nieśmiertelni przekonali się, że nadmiar wspomnień stanowi niekiedy ciężar nie do udźwignięcia. Po wielu wiekach istnienia, ludzie z ostatniego pokolenia zapadali w sen, mający trwać aż do końca Wszechświata, z bytu mieli łagodnie wkroczyć do niebytu.

Podróżnik musiał wiedzieć, co im odbiera.

A więc do środka! Nie usmaży go przecież. Chyba...

Położył się. O dziwo, było mu całkiem wygodnie. Wieko opadło z cichym trzaskiem. Szum aparatury działał kojąco. Zamknął oczy. Poczuł delikatne łaskotanie i senność.

Unosił się w przestrzeni, ale nie w Pustce. Wszędzie wokoło widział świecące plamy, kropki i dyski, jasne spirale, mleczne chmury. Miliardy galaktyk w przeogromnym kosmosie, w nich - nieprzeliczone światy.

Spojrzał na jedną ze spiral, zaczęła się przybliżać, rosła, aż stała się jedynym obiektem w polu widzenia. Pochłonęła Podróżnika. I już nie widział galaktyk, ale gwiazdy. Mijał je w szaleńczym pędzie, zlewały się ze sobą, jakby mknął przez tunel utkany ze światła. Po chwili zwolnił. Zobaczył olbrzymią mgławicę, kolorowe obłoki, masy pyłu tworzyły kształt, któremu obserwatorzy nadali nazwę, jeszcze zanim wyruszyli w kosmos. „Hm, niezłe!” Obrócił się ostrożnie, wybrał jedną z gwiazd. Ruszył ku niej, jednak już po kilku sekundach się zatrzymał. Pięć planet: dwa gazowe olbrzymy oraz trzy planety skaliste krążyły wokół średniej wielkości żółtego słońca. Podróżnik minął jednego z gigantów, zmierzał ku centrum układu.

Wokół gwiazdy oprócz planet, orbitowały satelity oraz stacje. Liczne statki kosmiczne pojawiały się i znikwały, kursowały pomiędzy najbardziej nawet oddalonymi punktami Imperium Galaktycznego. Panował pokój, echa dawnych wojen przebrzmiały.

Podróżnik spojrzał na jedną z planet. Obraz zmienił się: nie był już w kosmosie, ale nad brzegiem marszczonego wiatrem jeziora. Słońce właśnie zachodziło, niebo przybrało kolor dojrzałej brzoskwini. Na drugim brzegu widział miasto: lśniąca w blasku słońca mieszanina szkła i metalu, wysokie wieże, wokół których latały pojazdy, z tej odległości przypominające roje owadów. Jasnopomarańczowe obłoki tworzyły fantastyczne kształty, jezioro odbijało ich zniekształcony obraz. Wokół jeziora szumiał osobliwy las, gigantyczne czarne głowy porośnięte ciemnozielonymi pasmami, jak włosami. Wokół pni kolorowe kwiaty otwierały i zamykały kielichy. Kucnął, żeby obejrzeć z bliska niektóre rośliny, ale ku jego zdziwieniu obraz się rozmył, miał wrażenie, że patrzy przez grube szkło butelki. Ten świat można oglądać tylko z daleka, nie da się go dotknąć, poczuć, powąchać, posmakować.

Nagle jezioro zniknęło, Miasto wessało go, otoczyły go wygrażające niebu wieżowce. Ludzie. O twarzach uśmiechniętych klaunów. Jednakowe puste oczy. Zapełniali ulice. Mówili coś do niego, ale nie potrafił ich zrozumieć.

W milionach szyb odbijało się światło gorejącego słońca, miał wrażenie, że w Mieście wybuchł pożar. Wreszcie blask przygasł.

Ponownie spojrzał w niebo, nadchodził zmierzch, widać było pierwsze gwiazdy. Westchnął, ogarnięty nagłą tęsknotą.

Konsul Anlem był sam w swojej kwaterze. Siedział na krześle, oparł łokcie na kolanach, czoło na dłoniach. Czuł się zmęczony, ale nie miał ochoty korzystać z komory regeneracyjnej.

Czegoś mu brakowało. Cekał na jakąś zmianę, jakiś znak. Cokolwiek. Ale nic się nie działo. Jego życie wciąż przypominało układankę pozbawioną ostatniego elementu wieńczącego całość.

Ciągle czekał.

Podróżnik szedł długim, wąskim korytarzem, którego chłodna realność tak różniła się od mirażu z komory regeneracyjnej. Przystawał, dotykał gładkiej ściany, chcąc doświadczyć jej materialności. Skądś sączyło się delikatne światło, nie mógł odnaleźć jego źródła. Nie spotkał nikogo, choć czasem słyszał odległy odgłos kroków. Poza tym cisza. Wiele drzwi, za nimi śpiący, śniący o świetle minionym, dawnej chwale i potędze. Nie pragnęli przebudzenia. Podróżnik czuł samotny, jakby stał na szczycie wysokiej góry, spoglądając na skutą lodem, wymarłą dolinę.

Przystanął. Wtedy ją zobaczył, tak, jak się spodziewał. Chana wyszła z jakiegoś pomieszczenia, szła przed siebie. Nie zauważyła go. Ruszył za nią, ostrożnie, nie chciał jej przestraszyć. Zmierzali ku nieznanemu mu dotąd części stacji.

Po kilku minutach dotarli do czegoś w rodzaju olbrzymiej studni. Na jej ścianach znajdowały się ułożone piętrowo tarasy. Pośrodku tkwiło jakby olbrzymie drzewo złożone z roślinności porastające niegdyś liczne planety Galaktyki: wierzchołka ani korzeni tej płataniny nie mógł dostrzec. Pośród liści poruszały się rozmaite stworzenia: niektóre fruwały na cienkich niczym papier skrzydłach, inne skakały z gałązki na gałązkę.

Chana stała na brzegu tarasu, przyglądała się drzewu. Podróżnik podszedł do niej. Przez głowę przemknęła mu myśl: „Ciekawe, czy ktoś stąd kiedyś skoczył?”

Konsul Anlem znajdował się w Centrum. Lubił tam przychodzić. Olbrzymia sala, tak wysoka, że z dołu nie można dostrzec sufitu. W ścianach jamy, jedna przy drugiej, a w nich komory regeneracyjne. W komorach spali ci, którzy postanowili już się nie obudzić. Pośrodku podobna do wielkiego kielicha Matka - główny komputer stacji. Żywiła ich, dając życiodajny sen. Przechowywała wiedzę zgromadzoną przez miliardy pokoleń.

Z czarnego kielicha wyrastało coś na kształt długich ramion; Anlem wszedł na jedno z nich. Ramię uniosło go, konsul przyglądał się jamom z komorami, sprawdzał odczyty aparatury. Poza nim oraz śpiącymi było tu niewiele osób. Przychodzili z różnych powodów. Popatrzyć na śpiących. Oswoic się z miejscem ostatniego spoczynku. Odwiedzić przyjaciół.

Konsul również swoje własne motywy, nie zawsze dla niego jasne. Odpowiedzialność. Potrzeba upewnienia się, że wszystko w porządku. To także. Ale nie tylko. Przybywał do Centrum codziennie, by zobaczyć Matkę. Przeniknąć jej przedwieczny program. Zrozumieć zamysł Przodków. Dlaczego porzucili swoich potomków? Dokąd odlecieli?

Szukał odpowiedzi, jednak Matka ich nie udzieliła. Czy nie zostały w niej zapisane czy tylko głęboko je ukryto, tego Anlem nie wiedział. Wciąż szukał. Wpatrywał się w Matkę, w ten czarny bulwiasty kształt, wypęczniały pośrodku, otoczony uśpionymi ludźmi, ludźmi, którzy zrezygnowali z pustego życia dla iluzji życia pełnego doznań, bo tak było łatwiej. Czasem miał wrażenie, że ona odwzajemnia to spojrzenie, przenika jego umysł, dociera do głębi jego istoty, mroczniejszej niż Pustka. Wierzył w to niekiedy, uciekał zawstydzony, nie miał szans w tym pojedynku, mógł tylko chronić swoje bezbronne ja.

Kiedy konsula unosiło jedno z ramion Matki, inne stawiało na ziemi Chanę. Mieniała się chyba setką barw, stapała lekko, jakby jej ciało było delikatną mgiełką. Anlem obserwował ją, kiedy opuszczała Centrum, widział jej emocje, jej smutek, lęk, bezsensowną nadzieję, nie miała tajemnic. On sam krył w sobie mrok, lecz osłaniał go jasnymi, pogodnymi barwami. Był Konsulem. Opoką. Prawem.

Stał wysoko, pod samym sklepieniem. Otaczały go czerwone punkciki, każdy z nich oznaczał gwiazdę. Ostatnie światła gasnącego życia. Po wielu kulturach rozwijających się kiedyś we Wszechświecie zostały tylko niedobitki oraz opowieści, historie, pamięć tych, co pozostali. Resztę pochłonęły umierające gwiazdy.

Konsul spojrzał na cyfrę przedstawiającą liczbę kolonii. Zmartwił. Czyżby coś się zepsuło? Sprawdził system, działał prawidłowo. Wysłał wiadomość do pozostałych. Nie czekał długo na odpowiedź. Nie odbierano sygnału stacji X10135B. Zniknęła.

- Cześć. - Chana odwróciła się. Poznała go od razu. Ich umysły połączyły się, dziewczyna nie stawiała oporu.

Nie był pewien, co zrobi. Odejdzie? Zostanie? Miał nadzieję, że to drugie. Do krawędzi tarasu podleciał pojazd, rodzaj metalowego kosza.

- Mogę dołączyć? - Wahała się przez chwilę, jednak poczuł w głowie jej nieśmiała zgodę. Weszli do kosza. Lecieli w dół okrążając „drzewo”. Chana patrzyła na Podróżnika, nawet nie próbując stłumić błękitnego zaniepokojenia. „Ciekawość - pomyślał Podróżnik - to niezwykła rzecz. Każe iść naprzód bez względu na wszystko, poznawać nieznane, badać niezbadane. Głód umysłu, jeden z pierwszych kroków prowadzących do stworzenia istoty myślącej. Teraz będzie moim sojusznikiem.”

- O czym myślisz? Nie rozumiem. - Zapomniał o połączeniu.

- Na dole są imaginatorzy, prawda? Tworzą to coś?

- Tak. - Oglądała „drzewo”, badając uważnie każdy listek. Kosz zwolnił. Chana zmarszczyła czoło, nawijała na palec kosmyk włosów, głowę przekrzywiła na bok. Szybko zmieniała kolory, ledwo nadążała za tymi zmianami. Nie wszystko rozumiał.

Zauważył ruch na jednym z tarasów, ktoś stał w półmroku, przyglądał się im lub wyimaginowanej roślinie. Nie wszedł do kosza, zniknął w jednym z korytarzy. Był drugą, po Chanie, osobą, którą spotkał Podróżnik.

- Nie czujesz się czasem samotna?

- Owszem, często. Pewnie dlatego próbuję imaginować, żeby zająć czymś umysł. Chciałabym porozmawiać z kimś czasem. Ale prawie wszyscy śpią w komorach.

- A ty? Często... śpisz?

- Tylko, kiedy muszę. Inaczej przestałabym istnieć, prawda? Ale wcale tego nie lubię. Tam jest dziwnie. W snach. Nic nie jest prawdziwe. Imagina też nie jest prawdziwa, ale w jakiś inny sposób, taki bardziej namacalny. Wiesz, co mam na myśli? Cieszę się, że tu jesteś. Że rozmawiamy. Rzadko to robię. - Jej skóra stała się jasnozłota.

- Ja też. Dobrze czasem pogadać, nie? - Mógłby jej opowiedzieć o tylu rzeczach! Wątpił jednak, czy zrozumiałaby choć połowę. Słowa to etykiety, w tych czasach większość z nich trafiła na śmietnik, straciła znaczenie, bo to, co oznaczały nie istnieje, rozwiało się jak pył na wietrze. Słowa są martwe, kiedy świat umiera a ludzie śpią. Musi pokazać jej wszystko, by zrozumiała. Uratuje ją, a ona zacznie żyć. Przywróci słowom sens.

- Chciałabym... Chciałabym robić różne rzeczy. Robić je naprawdę, nie tylko na niby. Tworzyć i patrzeć, jak moje dzieła żyją.

Podróżnik poczuł nagle czyjś silny strach. To już. Zaczęło się. Był potrzebny gdzie indziej.

Wokół Anlema migotały czerwone kropki, on sam krążył po pomieszczeniu, wydawał polecenia, walcząc z narastającą paniką - kropki przedstawiające rozsiane w Pustce kolonie, zniknęły jedna po drugiej. Olbrzym zdolny obracać je w proch pozostawał nieznany, tajemnicza siła zagarniała coraz większe połacie Przestrzeni.

Nikt nie wiedział, co się dzieje, statki wysłane na miejsce nie znalazły ani śladu stacji, które po prostu przestały istnieć. Pobladłe twarze hologramów innych konsulów wyrażały przerażenie i rozpacz: zagłada była nieuchronna. Nie istniały możliwości obrony. Nie było dokąd uciec.

Anlem skinął ręką, hologramy zniknęły.

Nagle otworzyły się drzwi, do centrum łączności wszedł Podróżnik. Konsul stanął w pół kroku, niepewnie patrząc na obcego. Niepewność przerodziła się w irytację, Anlem chciał coś pomyśleć, ale przybysz go zablokował.

Nie miał czasu na szukanie odpowiednich słów, zresztą słowa nic by tu nie zdziałały. Tylko czysta myśl,

spokój Wielkiej Matrycy. Konsul pierwszy doświadczył tego, co spotkać miało wszystkich mieszkańców stacji. Jego spokój był potrzebny innym.

- Tak. - Anlem widział w życiu wszystko, co było do zobaczenia (prawda, że niewiele tego zostało), jego życie nie obfitowało w wydarzenia, pełzło od zasłoniętego niepamięcią początku ku nieskończoności, wciąż odległej, jego ostatni dech połączyłby się kiedyś z ostatnim paroksyzmem konającego kosmosu. Dzisiejsze wydarzenia stanowiły ogromną wyrwę w codzienności, nie umiał ich sobie wytłumaczyć, nie mógł ich zignorować. Teraz jednak było to bez znaczenia. Ujrzał swoje życie w zupełnie innej perspektywie. Wyruszył w podróż do celu, o którym dotąd nawet nie śnił.

Przestrzeń nad stacją rozdarła się jak zetłwała tkanina. Z rozdarcia wypełził cień bardziej mroczny niż otchłań kosmosu, jakby sama esencja ciemności.

Światło zgasło. Tych, którzy nie spali, ogarnęło przerażenie. Na piersiach poczuli ciężar. Groza była niemal materialna, oddychali nią, dławiła ich gardła. Krzyk. Stacja jęknęła.

Komory regeneracyjne zostały otwarte. Śpiący zawodzili, podobni do upiorów bładzili w wątłym blasku własnej skóry. W Centrum kościste postaci czepiały się ramion Matki, próbując zejść na dół. Niektórzy spadali. Splątane ciała. Niektóre martwe. Oplatające Matkę. Wołające.

Konsul wiedział, że Matka umarła. Kiedyś tak bardzo jej nienawidził. Teraz nie czuł nienawiści, tylko dziwny spokój i pewność, że wszystko będzie dobrze.

Światło pojawiło się znikąd. Setki, tysiące promieni, podobnych błyskawicom, rozjarzyły Pustkę. Pochłonęły wszystkich.

Otoczeni blaskiem, złani z nim w jedno, przyciągani przez prawieczny nurt, ludzie przekroczyli granicę. Zdawało im się, że nie istnieją. A przecież wciąż egzystowali, choć w odmienny sposób. Wszędzie wokół było światło, w którym pulsowały roje czarnych plamek, plamki te wypełniały całą przestrzeń. Utknęli w bezczasie, wypełnił ich spokój. Stali się jednym, choć zachowali swoją indywidualność. Pojęli wszystko, od początku do końca. Stali twarzą w twarz z Rzeczywistością.

- Gdzie jesteśmy?

- W bezpiecznym miejscu.

- Kim jesteś? Jak...

- Nie bójcie się. Jestem Podróżnikiem. Rzeczywistość, wszystko, co istnieje, ma wiele warstw. Wy znaliście tylko jedną, samą powierzchnię. Ja pochodzę z innej, głębszej. Tam nie ma czasu ani materii. Wszystko jest myślą, doskonałą ideą, Wielką Matrycą. Od niej pochodzi wszystko, co znacie. My, Podróżnicy, jesteśmy jej emanacją. Możemy przekraczać granicę między warstwami rzeczywistości, wkraczać do waszego Wszechświata w dowolnym miejscu i czasie. Zazwyczaj robimy to, by badać, obserwować. Tym razem z jakiegoś powodu miałem was ocalić.

- A czym było to coś, co zniszczyło stację? I co z pozostałymi koloniami?

- Przykro mi. Bardzo mi przykro. Mogłem uratować tylko waszą stację. Tylko w jednym punkcie czasoprzestrzeni można było otworzyć przejście. Tamci... obcy nie pochodzą ani z waszego ani z naszego świata. Przybywają, gdy nadchodzi koniec. Żywią się ciemnością i śmiercią. Nie mogliśmy ich powstrzymać przed atakiem. Zatrzymaliśmy ich w waszym czasie.

- Nie mogliście? Jak możesz tak mówić! Wiesz, ilu tam było ludzi?! Oni zginęli! - Podróżnik milczał. Nie potrafił wytłumaczyć tym ludziom, od wieków nie znającym śmierci, dlaczego przeżyli, gdy inni musieli umrzeć. Sam tego nie wiedział. Pozostało mu tylko wierzyć, że to wszystko ma jakiś sens. Stłumić wątpliwości. Nie zadawać zbyt wielu pytań, robić swoje.

Ale może życie jest lepsze niż śmierć? Nawet jeśli to tylko część czyjegoś planu.

- Jesteście gotowi? - Wiedział, że nie są, nie mogli tu jednak pozostać. Jedna z czarnych plamek zaczęła rosnąć. Pochłonęła ich.

Stali na trawie, spoglądając w górę. Była noc, na niebie świeciły gwiazdy, stałe punkty w zmieniającym

się świecie: wiele pokoleń minie zanim zgasną. Marzenie poetów, cel zdobywców, niezbadane światy uczonych. Imperium Galaktyczne jeszcze nie powstało, we wciąż młodym Wszechświecie narodziła się dotąd tylko jedna cywilizacja, już wymarła.

Na tej planecie przybysze będą żyć w izolacji, ale poznają żar słońca, wodę gaszącą pragnienie, prawdziwą radość i prawdziwy ból. Podróżnik niemal im tego zazdrościł: przybieranie form fizycznych odciśnięło na nim ślad. A sądził, że to niemożliwe!

„No cóż pomyślał - pora wracać.” Została jeszcze jedna kwestia. Nie mógł zostawić ludzi samych. Zauważył jakiś ruch w ciemności. Uśmiechnął się. Nadeszły. Podróżnik rozplątał się w rozbłysku światła.

Planeta, na której Podróżnik zostawił uciekinierów z przyszłości była dawniej złomowiskiem dla zużytych robotów, porzuconych tu przez pewną starą cywilizację, wymarłą zanim Galileusz ujrzał księżyc Jowisza.

Podróżnik naprawił roboty, dbał o nie, z ich pomocą stworzył na jednym z kontynentów olbrzymi ogród, dostarczył też wszelkie możliwe materiały. Łagodny klimat oraz mnogość pożywienia gwarantowały kolonistom przetrwanie. Poza tym Wielka Matryca tak zmieniała ich ciała, by mogli żyć w tym środowisku bez pomocy technologii.

Stał na niewielkim wzgórzu, obserwował zbudowaną przez ludzi osadę: z pomocą robotów radzili sobie całkiem nieźle.

- Hej ... przepraszam, nie wiem jak się do ciebie zwracać. Nie znam twojego imienia.

- Jestem Podróżnikiem, nikim więcej. - Nie słyszał Chany, tak cicho stąpała po wysokiej trawie. Miała skórę opaloną na ciepły brąz, co podkreślała jeszcze biel jej sukienki: do ziemi, z długimi rękawami dla ochrony przed słońcem, na głowie nosiła jasną chustkę.

- Wróciłeś?

- Przyszedłem w odwiedziny. Chciałem sprawdzić, jak wam się wiedzie.

- Aha. - Usiadła na ziemi, a on obok niej. Słońce świeciło, wiatr chłodził przyjemnie. Chana otarła strużkę potu, spływającą z czoła.

- Podoba wam się tutaj?

- Chyba tak ... Mamy ogród, roboty, uczą nas uprawiać rośliny. Zobacz. - Wyciągnęła z kieszeni czerwony owoc.

- Słodkie i soczyste. - Wypowiedziała te słowa z namysłem, stanowiły nowość. Wcześniej nie jadła nic słodkiego i soczystego. Podróżnik zaprogramował wiele słów robotom, by one przekazały je ludziom.

- Jak one się nazywają, te owoce? Bo mamy różne: czerwone, niebieskie, żółte.

- Sami musicie nazwać rośliny, zwierzęta, rzeki, morza. Wtedy naprawdę będą wasze.

- Może. - Spuściła głowę.

- Wszystko jest takie inne. Do tylu rzeczy musieliśmy przywyknąć, sami dla siebie jesteśmy teraz obcy. Nie poznaję już siebie! Jakieś dziwne siły weszły do mojej głowy i kierują mną! Masz pojęcie, jak trudno nam było nauczyć się mówić? A sen! Jest czymś innym niż dawniej. Gdyby nie to, czego doświadczyliśmy tam, gdziekolwiek byliśmy, zwariowalibyśmy. Jak to w ogóle możliwe, że ta Matryca zmieniała nas tak bardzo? Jak? I dlaczego nie było cię z nami?

- Ona jest źródłem, ideą, z której powstał wasz wszechświat. Oraz inne wszechświaty, przyszłe, przeszłe, obecne. Prawa fizyki. Życie. Wszystkie zdarzenia, zaistniałe i tylko możliwe. Być może, nie jestem tego pewien, poza nią są inne głębsze warstwy, jakieś ostateczne Źródło... - Podróżnik mówił cicho, jakby do siebie.

- A ja... musiałem odejść, bo byłem potrzebny gdzie indziej.

- Wiesz - powiedziała Chana po chwili - nocami widuję gwiazdy. Są piękne. Czasami nie śpię w nocy, tylko patrzę na nie. Jest ich tak wiele, tak nieskończenie wiele! I czuję taką... dziwną tęsknotę. Czy to normalne? Czy tak powinno być?

- Tak.

- Nie wrócimy tam, prawda?

- Nie.

- Bez komór regeneracyjnych jesteśmy śmiertelni. Umrzemy.

- Tak. To prawda.

- Anlem się nie boi. Mówi, że żyje już za długo i jest zmęczony. Jest szczęśliwy, pociesza nas. Ale nie wszyscy patrzymy na to w ten sposób. Ja się boję. Tak bardzo, że w nocy czasem nie mogę spać.

- A wtedy wychodzisz na dwór i patrzysz w gwiazdy.

- Tak... My znikniemy, a one będą istnieć jeszcze długo. Czy... czy ta Wielka Matryca nie mogłaby czegoś zrobić? Sprawić, że odzyskalibyśmy nieśmiertelność?

Podróżnik milczał. Nie było sensu mówić Chanie, żeby się nie bała. Ten strach towarzyszył jej gatunkowi od zarania dziejów. I miał z nim pozostać aż do jego końca. Tylko na chwilę o nim zapomnieli, odegnali jak natrętną muchę. Nieśmiertelność okazała się tylko kolejnym złudzeniem.

- Nie mogę ci powiedzieć, że rozumiem. Nie jestem taki jak ty. Jesteście dla mnie tajemnicą. Postaraj się żyć. Dobrze? Nie myśl o śmierci jako o końcu, tylko jako tajemnicy. Niepojętej i strasznej. Pomyśl, że to lot w nieznane, do gwiazd. Nie będziesz sama.

- Ty tam będziesz?

- Nie mogę. Nie istnieję tak naprawdę, jestem tylko emanacją Wielkiej Matrycy. Teraz wrócę do niej i połączę się z Nią poza waszą rzeczywistością. Poza czasem. Tajemnice życia i śmierci są przeznaczone tylko dla was, istot żyjących w czasie.

- Wrócisz tu kiedyś?

- Nie wiem. Możliwe. Choć pewnie w innej formie. Może będę owadem, siedzącym na twoim ramieniu w letni dzień. Zapachem kwiatu. Albo wiatrem. Wypatruj mnie. - Wstał.

- Musisz już iść? - Skinął głową.

- A więc do zobaczenia.

- Do zobaczenia. - Powtórzył jak echo. Zniknął. Przeszedł na drugą stronę. Znow stał się częścią Wielkiej Matrycy, niezmiennego porządku, wiecznego teraz. Wcześniej nie wiedział, dlaczego ocalił ostatnich ludzi, dlaczego darowano im ten dodatkowy czas. Matryca nie przywróciła im możliwości rozmnażania, żeby nie zakłócili biegu historii. Więc po co? Teraz zrozumiał.

Chana szła w stronę osady. Ugryzła kawałek owocu, wciąż trzymanego w dłoni. Był naprawdę słodki. Czowała promienie słońca na skórze oraz orzeźwiające podmuchy wiatru.

Wysoko na niebie szybowało stworzenie o ogromnych skrzydłach, śpiewała. Kiedy chodziło po ziemi, odpychało brzydotą: wyglądem przypominało czarną bezkształtną kupę śmieci. Lecz gdy wzbijało się w powietrze, słońce sprawiało, że błyszczało jak czysta woda, jego pięknego śpiewu ludzie słuchali, przerywając swoje czynności, dopóki nie odleciało.

Chana postanowiła wymyślić dla niego nazwę.

Tymczasem słońce zaczęło zachodzić. Zmierzchało się, nadchodziła noc. Mieszkańcy maleńkiej osady patrzyli w niebo. Gwiazd było coraz więcej.

W końcu wypełniły sobą nieskończoność.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.